

przejąć adept życia duchowego, jeśli chce dotrzeć na Górę Karmel, by tam zaślubić Oblubienicę. Takich dzieł, pisanych wspaniałym językiem, doskonale oddających zarówno rzeczywistość dostępną tylko podmiotowi pisma, mamy więcej. Nawet w Polsce, a znowu myślę tu o niezwykle trudnej w lekturze książce Heleny Kowalskiej, która już w zakonie jako Siostra Faustyna w latach 1934-38, w czasie, kiedy nazizm szalał w Niemczech, a w ZSRR Bułhakow zmagał się z pisaniem swego arcydzieła, a jednocześnie z komunistami, napisała 6 zeszytów, zapisanych gęstym, dość ładnym pismem ręcznym, piórem. Po śmierci zeszyty te schowano, obawiając się herezji, albo ujawniania sekretów rodzinnych czy zakonnych, ale po wojnie, dzięki staraniom Karola Wojtyły, niedługo rozpoczął się proces informacyjny i zeszyty te odnaleziono i przekazano komisji. Wkrótce zakazano kultu miłosierdzia, a zeszyty cudem ocalały, a i tak była to kopia, bo oryginalne w przypływie braku wiary w siebie siostra spaliła w piecu, a spowiednik nakazał jej odtworzyć te przeżycia raz jeszcze.

Gdy notyfikacja zakazująca kultu została cofnięta, można było pomyśleć o pierwszym wydaniu. Zrobione jednak zostało przez osoby amatorsko zajmujące się edytorstwem, i miało błędy, również rzeczowe. Dopiero kolejne wydania (1985, 1993 – z okazji beatyfikacji, 2000 – z okazji kanonizacji i nn.) są oryginalne, poprawne, sprawdzone co do zgodności z rękopisem. „Dzienniczek” Siostry Faustyny poznałem gdzieś we wczesnych latach 90-tych, podobnie jak cały kult, który zaprojektowała przebywając czasowo między wyjazdami w domu zakonnym w podkrakowskich Łągiewnikach. Poznałem i...

No, właśnie poznałem i nie poznałem. Inaczej mówiąc, czytam ten tekst od co najmniej 20 lat, i nie tyle, że nie mogę przeczytać od deski do deski, bo fizycznie nie jest to nie do zrobienia. Ale to tekst szczególnie, wciągający, głęboki, pokazujący horyzonty, które przerażają i fascynują zarazem, przekraczają je, idąc dalej i dalej, aż do nieskończoności. Ile razy chciałem przeczytać od do, tyle razy przerywałem lekturę gdzieś po 20 minutach, mając głowę pełną materiału do przemyśleń, więc stawałem, ale Dzienniczek cały czas krążył między półką z książkami do liceum, potem lekturami polonistycznymi, a biurkiem czy kanapą i nie chciał dać się schować razem z zeszytami do piwnicy. Wraciał, on ciągle wraca. I wiem, że będzie wracać, że nie opuści mnie aż do końca tej drogi, lektury, bo życie jest jak czytanie.

Cóż takiego zachwyca? Wiele osób zna historię życia i historię tego dzieła, więc opowiem swój sposób lektury. Umowa społeczna, że książka ma „początek” i „koniec” w świetle dekonstrukcji jest konwencją. Tego typu literatury, podobnie jak ksiąg wielkich religii, nie da się przeczytać od początku do końca. One nie mają początku ani końca, nigdzie się nie kończą, mają intratekstualne mechanizmy wewnętrznych odniesień. To są przewodniki, które towarzyszą nam w drodze, wyciągamy je przy jakimś zabytku, czy sytuacji, wynajdujemy odpowiedni fragment

i wyciągamy wnioski. Są jak podręczniki, których się nie czyta, ale wynotowuje potrzebne informacje, uczy się z nich, ale nie czyta jak powieść czy mikronarrację. Są jak słowniki czy encyklopedie, bo dzięki skrótowo opracowanym indeksom rzeczowym i tematycznym można przeczytać o tym, co nas w danej chwili interesuje, przestrasza, zasmuca czy raduje.



Rys. Barbara Medajska

I tak Dzienniczek ściągam od 20 lat z najwyższej półki w mojej biblioteczce, otwieram na chybił trafił i mam od razu in medias res, samo sedno, jak esencję mistyki – znajduję albo pouczenie mową wewnętrzną, głosem „Jezusa”, albo opis relacji w zakonie, albo dokonywane „cuda”, czy otrzymywane „objawienia” dla ludzkości. Oczywiście, że sporo z tego przypisać należy wyobraźni, ale tym tropem poszedł już spowiednik, kiedy nakazał Siostrze wykreślić wszystko, co jest jej fantazją, i podkreślić tylko to, o czym jest pewna, że stanowi nadnaturalną ingerencję czy interwencję samego Boga. I tak zrobiła, a spowiednik stwierdził, że więcej wykreśliła niż podkreśliła. Dokonanie tej autocenzury pozwalał mi myśleć, że tekst został wstępnie oczyszczony z obrazów imaginatywnych, a te które pozostały można by klasyfikować – po wykluczeniu zaburzeń widzenia – jako autentyczne wizje i mistyczne obrazy symboliczne, scalające mistyczne poznanie zakonnic i jej piszącego ducha.

Obcując tyle lat z tym tekstem jedno mogę powiedzieć: warto czytać choćby wiele lat jeden tekst na wiele sposobów, niż wiele tekstów, jeden po drugim, na jeden sposób. To zresztą rada jednego wybitnego krytyka poznańskiego, który właśnie proponuje tę regułę: jeśli chcesz zrozumieć, co czytasz, lektura jednorazowa nie wystarczy. O problemie lektury wielokrotnej, powracającej pisał od strony teorii literatury Bartoszyński w latach 90. Jednorazowego użytku są tylko czytadła, wybite dzieła czyta się ze dwa, trzy razy, natomiast arcydzieła, zwłaszcza natchnione z innego wymiaru, rozpoczyna się czytać i nigdy się to czytanie nie kończy...

Joanna Wicherkiewicz

* * *

mam takie dwie zmarszczki
których nie lubię
pojawiły się
gdy uśmiech zabrały
wrony

* * *

drzewa kocha się łatwo
ściśnięte mocnymi ramionami
nadal zielone uległe
można wytatuować im serce
na wieczne umiłowanie
przychodzi stokrotnie
nazywać swoim
schować w cieniu
przeszłość

czasami żółkną purpurowieją
zrzucają kolor
lecz potem znów zielenieją dla miłości

* * *

lubię słowo jutro
tyle w nim nadziei
na spełnienia

* * *

na urodziny dostałam mamę
zabieganą daleką
i bliską
gdy moje serce
przyspieszało ze smutku
przybiegała na koniec świata
by zaciągnąć cugle

* * *

o czwartej nad ranem
smutki kąpią się
w ciszy
zegar je dzieli
na dwoje

